

W gościnie u Jarajów

Pociągam przez słomkę mętne paskudztwo, nie mając pojęcia, ile powinienem go wysączyć, aby pozyskać zaufanie. W pewnym momencie słyszę oklaski, uznano mnie za swojego. Ten, kto przybywa ze złymi intencjami, musi uważać, aby się nie upić, bo mógłby się zdradzić.

JACEK PAŁKIEWICZ

W swoich reporterskich podróżach, w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, intrygujących zjawisk i ludzi osiadłych w krainach odległych w sensie zarówno geograficznym, jak i czasowym, odwiedziłem mniejszość etniczną, która oparła się przymusowej wietnamizacji. Nazywa się ją pogardliwie *mio*, czyli dzikusami. Komunistyczny rząd Hanoi ją prześladowa, bo w czasie wojny wietnamskiej jej członkowie służyli Amerykanom jako przewodnicy na legendarnym szlaku Ho Szi Mina.

Karawana słoni niczym taran przebija się przez bambusowe zarośla. Ogromne, 4-tonowe cielska, kołysząc się na boki, z łatwością pokonują rwące potoki i błotniste zbocza wiecznie zielonego, wilgotnego lasu równikowego. Nie mogę się oprzeć urokowi podróży odtwarzającej epokę wielkich odkrywców. Wabią mnie także zagadkowy czar idyllicznego świata Indochin, błogiej egzystencji w klimacie monsunowym, aromat kadzideł, zapach opium płynący z nielegalnej palarni, stupy skąpane o świcie w różowej poświacie czy durian – „nektar bogów”, którego magnetyczny zapach jednocześnie przyciąga i odpycha. Czyli cały ten świat bliski sercu Josepha Conrada bądź Rudyarda Kiplinga, który odszedł prawie całkowicie w zapomnienie.

Zorganizowanie tej wyprawy zajęło mi wiele czasu, dwa razy musiałem odwiedzić Hanoi, aby przekonać (czyli skorumpować) ważnych funkcjonariuszy, przyzwyczajonych do wyostrejzonej czujności i patrzących podejrzliwie na każdego obcokrajowca, że nasza ekspedycja ma charakter naukowy i nie zamierzamy poszukiwać zaginionych w czasie wojny amerykańskich żołnierzy. Miałem ochotę odwiedzić żyjącą w Górach Annamskich, na pograniczu Wietnamu i Kambodży, zaprzeszłą grupę etniczną Jarajów, która wraz z kilkudziesięcioma innymi zaliczana jest do Montagnardów, „dzieci gór”, pierwotnych mieszkańców regionu, którzy przez wieki opierali się kolonizacji przybyłych z północy Chińczyków, a we współczesnych czasach nie poddali się próbom przymusowej wietnamizacji. To pochodzące z malajsko-polinezyjskiej grupy językowej plemię osiedliło się tutaj przed 2 tys. lat i nigdy nie miało poprawnych stosunków z ludnością lokalną, która nazywa je pogardliwie *mio* – dzikusami. Komunistyczny rząd Hanoi prześladowa je ich za to, że brali udział po stronie najęźdźcy w „wojnie oporu przeciwko

Kwestia Montagnardów jest jednym z najbardziej wrażliwych politycznie i najczęściej cenzurowanych tematów w Wietnamie.



Test prawdy plemienia Jarajów

Amerykanom” – jak Wietnamczycy nazywają konflikt między Północą a Południem kraju. Uporczywie dyskryminuje ich za żądania autonomii politycznej, społecznej i kulturalnej, ale także z powodu wyznawanej przez część społeczności Jarai chrześcijańskiej wiary. Organizowane były liczne demonstracje, podczas których domagano się ukrócenia procesu wywłaszczenia terytorialnego czy zaprzestania deforestacji.

Kwestia Montagnardów jest jednym z najbardziej wrażliwych politycznie i najczęściej cenzurowanych tematów w Wietnamie. O surowych represjach, ciągłych konfliktach i łamaniu tam praw człowieka donoszą



Archiwum autora

różne organizacje pozarządowe. Nic dziwnego, że rejon Płaskowyzu Centralnego, gdzie żyją Jarajowie, został praktycznie odcięty dla obcokrajowców i zakazany dla dziennikarzy. Przed naszym przyjazdem w 1992 r. w *restricted area* (obszarze zastrzeżonym – przyp. red.) w prowincji Gia Lai ich sytuacja znacznie się pogorszyła i bałem się nawet, że władze Wietnamu odbiorą udzielenie mi wcześniej zezwolenie.

Ale oto i nasz cel. Przed południem otulona w wilgotnych oparach, hipnotyzująca dżungla przechodzi w pięknie zielone poletka ryżowe, a na nich pochylone, zmizerniałe kobiety z obnażonymi piersiami. Scena wyjęta niczym z orientального malowidła

Pochodzące z malajsko-polinezyjskiej grupy językowej plemię Jarajów osiedliło się tutaj przed 2 tys. lat.

Ludność lokalna nazywa je pogardliwie „mio” – dzikusami.

przeszłej epoki. Zatrzymujemy się przy chatkach na palach. Nieoczekiwane przybycie gości wprowadza wśród mieszkańców przysiółka wiele zgiełku. Pierwsi zbliżają się z godnością półnaczy, tylko z przepaską na biodrach, niskiego wzrostu, pogodni mężczyźni o bursztynowym zabarwieniu skóry, którym uśmiech nie schodzi z twarzy.

Potem nabierają odwagi kobiety, które w przedziurawionych płatkach usznych noszą cylinder z kości słoniowej. Uśmiechając się, pokazują spiłowane przednie zęby i zabarwione na czarno dziąsła. To efekt żucia orzeźwiającego betelu, odurzającej używki z liści pieprzu żuw nego, nasion palmy areki i pokruszonych muszli małży. Wreszcie podchodzą pełne kokieteryjnego wdzięku dziewczyny o ponętnych kształtach. Wśród kilkuletnich brzdąców szokują palacze skrętów, którzy jak dojrzały mężczyźni zaciągają się odrażającym dymem.

Nikt tutaj nie mówi po wietnamsku, ale przezornie zabrałem z Pleiku młodego chłopaka pochodzącego z tych stron, który tłumaczy z jarai na wietnamski, a Suan, sympatyczna studentka z Hanoi, zamienia jego słowa na rosyjski, oficjalny język ekspedycji. Wśród radosnej wrzawy Alberto rozdaje najmłodszym kolorowe baloniki i inne zabawki, które przywiózł z Bassano del Grappa.

Pełen godności, mocno przygarbiony zwierzchnik osady o twarzy niewyrażającej żadnych emocji zaprasza do swej bambusowej chatki, prawie pustej, jeśli nie liczyć maty do spania, paleniska, kilku garnków i noży. Wręczam mu przywiezione prezenty: sól, maczety, sprzęt do łowienia ryb, chininę, podczas gdy domownik przysuwa w moją stronę gliniany dżban wypełniony po brzegi *ruon ghe* – ognistą wodą ze sfermentowanego ryżu. Pije się ją podczas ceremonii plemiennych, ale też częściej się nią przybyszów, co ma służyć jako test prawdy. Obyczaj nakazuje, że aby gość został zaakceptowany, musi wysączyć sporo tego trunku. W środku zanurzony jest patyk z podziałką poziomego najoju. Ten, kto przybywa ze złymi intencjami, musi uważać, aby się nie upić, bo mógłby się zdradzić. Od tego zatem, ile wypiję, zależy, czy stanę się przyjacielem domu czy też intruzem. Pociągam przez słomkę mętne paskudztwo, nie mając pojęcia, ile powinienem go wysączyć, aby pozyskać zaufanie. W pewnym momencie słyszę oklaski, uznano mnie za swojego. Teraz swoją wiarygodność muszą zademonstrować także moi kompani. →



Archiwum autora

Kusza jest tu podstawową bronią łowiecką

→ Jarajowie żyją w izolacji, wykorzystując niedostępność terenu. W większości wyznają pierwotną religię kultu przodków, kultywują tradycyjne, pełne mistycyzmu wierzenia animistyczne. Okresowo składają duchom wioski ofiary ze świń albo bawołów, które mają zagwarantować obfitość plonów i zdrowie wspólnoty. System matriarchalny zapewnia kobietom wysoką pozycję w rodzinie i społeczeństwie. Nie tylko wychowują dzieci, lecz także zajmują się pracami na polu ryżowym, przy uprawie ziemniaków i kukurydzy. Ponadto trudnią się tkactwem, lepieniem garnków z gliny czy wyplataniem koszy. Mężczyźni kultywują myślistwo, posługując się takimi samymi kuszami i zatrutymi strzałami jak przed wiekami ich przodkowie. W zasadzie las tropikalny jest w stanie zapewnić tym ludziom podstawy egzystencji – od materiałów budowlanych po dziczyznę i owoce. Jarajowie utrzymują kontakty z innymi plemionami zamieszkalymi w dolinach, z którymi prowadzą

handel wymienny. W zamian za tytoń, rośliny lecznicze, miód i inne płody leśne otrzymują sól, wyroby z żelaza, narzędzia rolnicze.

Po specyficznym aperitifie czekał nas osobliwy bankiet. Na wstępie było risotto z kawałkami duszonego węża w pikantnym sosie. Potem przyniesiono na wielkim talerzu coś, co podczas szarówki trudno było rozpoznać. I póki nikt nie dotknął strawy, złapałem się za brzuch i widać się teatralnie z bólu, prosiłem o jakieś lekarstwo. Znalazłem wyjście, aby już nie wydłużać biesiady, bo uprzytomniłem




✂ palkiewicz.com

Jacek Pałkiewicz
Wydawnictwo: Świat Książki
Liczba stron: 406
Oprawa: miękka
Cena: 49,90 zł
Zamówienia: tel. 34 365 19 17
w godz. 7-15
kolportaz@niedziela.pl

Jarajowie żyją w izolacji, wykorzystując niedostępność terenu.

sobie, że nieco wcześniej widziałem, jak jedna z kobiet z pomocą psa wyciągała myszy z nory na polu. Potem niosła je nawleczone na sznurku, ale nie przyszło mi na myśl, że wyłudują na rożnie. Tłumacz wyjaśnił, że to rarytas dla poważanych gości i nie wypada odmówić, bo gospodarz potraktuje to jako zniewagę.

Nazajutrz opuściliśmy oazę z odległej epoki, gdzie garstka ludzi pędzi żywot, wydaje się, rodem z innej planety. Suan była zszokowana: „Odkryłam świat, o którym zupełnie nie miałam pojęcia. Nigdy bym nie przypuszczała, że w moim kraju żyją jeszcze tak prymitywne, zakotwiczone w prehistorii wspólnoty plemienne”. 

JACEK PAŁKIEWICZ
Reporter, eksplorator
www.palkiewicz.com